

Drogi

Andrzeju!

Sanok 19.9.68.

Napisałem już ten list, poprawiłem i wyrzuciłem do kosza, a teraz zaczynam po raz drugi spokojniej i bez nerwów. Owóż ja Eliadego nie mogę. Jest czasem coś co się trudno rozumie, z powodu terminologii, braku wykształcenia fachowego, ale to mnie raczej mobilizuje [na przykład takie trudności miałem z czytaniem „Czuwającego mózgu” Magouna czy prac z zakresu cybernetyki]. Jeżeli idzie o Eliade, to wszystko tu jest zrozumiałe, a glosariusz nawet jest niepotrzebny, bo z wyjątkiem trzech określeń operuje przeciętnie spotykanymi słowami. Ale do diaska, nic dla mnie z tego nie wynika! Jednym uchem wchodzi, drugim wychodzi. Przeczytałem 20 kartek, może więcej, i dałem spokój. Jest to dla mnie bardziej nudne niż podręcznik historii, a historię uważałem zawsze za najnudniejszy rodzaj nauki na świecie. Nie ma w tym zapewne winy Mircea Eliade ani chyba mojej, tylko że nie wszystko dla wszystkich, Ty na przykład nie możesz Gombrowicza. Porównałbym tę książkę do „TEORII I TWÓRCZOŚCI” Białostockiego. Też nie byłem w stanie zrozumieć co wynika z tego oceanu erudycji i przytoczonych faktów, faktów, faktów, faktów... Wbrew temu co zapewne o mnie sądzisz, nie mam ja najmniejszego zrozumienia dla faktów. Nudzą mnie. O Jezu. Tak jakby nie można było bez tego oglądać obrazów. Zagadką jest dla mnie co... Nie, chyba nie jest zagadką. Chodzi o to, co powoduje, iż na Junga przystaję z wielkim zainteresowaniem, a Eliade nie mogę. Owóż te książki dla Ciebie łączy pewien pomost, który dla mnie jest zupełnie nie interesujący. Nawet wyraźnie niebezpieczny, o czym za chwilę. Ja z Junga odczytałem teorię, która wydała mi się pasjonująca. Ty chyba coś zupełnie innego. Wydajesz się być uwrażliwiony na symbol w jego historycznym aspekcie. Otóż to mnie zupełnie nie ciekawi, skoro posiadam własną nieświadomość lub skoro

„moja-kolektywna” nieświadomość mnie posiada, a w niej są zawarte wszystkie potencjalne możliwości manifestacji archetypów, zgodnie z uświęconą symboliką czy w sposób odmienny. Co więcej: Świadomość istnienia pewnych określonych i stereotypowych symboli, jak koło, splecione węże, kwadrat, kwiat lotosu, cztery kolory etc., jest dla mnie najwyraźniej szkodliwa, a mechanizm ten, by uniknąć niedopowiedzeń, chętnie Ci przedstawię. Otóż pisałem już, że cierpię na nerwicę natręctw, co zmusza mnie codziennie do rozdzielania włosa na tysiąc kawałków. Exemplum: Przeczytałem przed 10 czy 15 laty w jakimś artykule jakiegoś „krytyka”, który wtedy był dla mnie autorytetem, a którego dzisiaj zapewne nawet bym do ręki nie wziął, coś w tym rodzaju, że „człowiek to brzmi dumnie i w związku z tym poddawanie go w obrazie ornamentacji czy stylizacji, czy też traktowanie „dekoracyjne” jest niegodne tego dumnego brzmienia. Oczywiście brednia. Ale mnie to do dziś przeszkadza w rysowaniu! Bo zostało „powiedziane”, a ja „przeczytałem”. Gdybym nie przeczytał miałbym to „z głowy”. Nie potrafię wyrzucić z głowy setek tysięcy podobnych dyrdymałów, które mnie rozciągają, rozrywają, utrudniają każdą minutę skupienia. Owóż teraz, gdy dowiedziałem się o symbolice będącej manifestacją archetypu, to sam fakt ten nie mógł w żaden sposób utrudnić mi twórczości. Mogłbym się jedynie doszukiwać w tym co robię manifestacji archetypu, domyślać się co było archetypem i co go symbolizuje. Gorzej się stało, gdy dowiedziałem się jak wyglądają i co oznaczają niektóre archetypy. Ale jeszcze gorzej, gdy dowiedziałem się jak wyglądają i co oznaczają niektóre symbole, które są tych archetypów manifestacją wizualną. Dprowadza to do tego, że zaczynam analizować każde pociągnięcie ołówka, czy przypadkiem nie wyłazi z tego mandala, czwórca, splecione węże etc. Od dwóch dni

wymazałem już cały szereg mandali, i jak tak dalej pójdzie, to będę musiał zubożyć to co robię o kwadraty, koła, rzeczy splecione etc., jak też zawsze dawać więcej lub mniej kolorów niż cztery, a to jest dla mnie nowe utrudnienie. Być może na kimś innym tego rodzaju skromna jak na razie wiedza wywołała by chęć wręcz przeciwną, ale to wynika z predyspozycji psychicznych, które mnie kreują na tego osła, który nigdy nie pójdzie tam gdzie go ciągną. TO WYKLUCZONE! To jest u mnie najsilniejsze i poważnie grozi mi to zubożeniem moich prac o koła, kwadraty, kwiaty lotosu etc., bo nie zniosę nad sobą żadnego determinizmu tego typu. Żartuję jak się domyślasz! Tak jest jak napisałem, ale naturalnie nie tak naiwnie. To mi jednak strasznie utrudnia. Więc czytam tylko wtedy, gdy to jest konieczne. Obawiam się, że Eliade mnie nie interesuje, natomiast będzie sadił masę symboli w aspekcie historycznym, które spowodują u mnie jeszcze większe skrępowanie ręki. Powiesz że jestem niekonsekwentny, skoro przedtem napisałem, że teoria nieświadomości i archetypu wydaje mi się przekonująca. A więc mylisz się, jeśli tak powiesz. Zgodnie z Jungiem, archetyp może się manifestować w rozmaitych symbolach, gdyż określa tylko ogólne zasady, nie zaś szczególny wygląd. Jeśli patrzę w siebie, znajdę tam wszystko, bo tam wszystko jest. Jeśli będę patrzeć w Eliade, Frazera, Levi-Straussa czy nawet Streichera, to znajdę tam kółka, kwadraty, swastyki, trójkąty, elementy kobiece i męskie i tym podobne trupy czyli symbole, w których archetyp zmanifestował się już przed tysiącami lat i w których manifestuje się także do dziś, ale które nie są archetypem lecz trupem, łuską, czymś doznaniem narysowanym na papierze lub wyrytym w metalu. Jeśli teraz z kolei naciskany przez te trupy zacznę je albo eliminować ze swojej twórczości, względnie właśnie je tam umieszczać, to wynikiem będzie twórczość wykastrowana lub martwa. Tu jest

ta różnica dyskretna ale zasadnicza: Nie mam nic przeciwko determinizmowi nieświadomości i archetypu, o ile naciskając na moją pychę pozwolą mi wydusić z trudem ze siebie coś co stereotypowe i powtarzalne istniało już przed wiekami, mam natomiast wszystko przeciw Meyrinkowi, że pozwolisz mi na taki powrót boomerangiem do poprzedniej dyskusji. Poszukiwanie symboliki w jakiej manifestuje się archetyp w czyichś określonych dziełach [nawet własnych] jest czynnością pasjonującą na podobieństwo odkrywania labiryntu. Ładowanie jednak martwych symboli to ładowanie świadome do tego co robię, jest głupsze od szwedzkiej gimnastyki. I dlatego taka rzecz jest potem pusta jak dziurawy garnek, mimo iż na każdej stronie toczą się mandale, a wschodzące nad wodą trójkąty zamieniają dzięki odbiciu w kwadraty. To tyle. Cześć

PS

20.9.68.

Rano nastawiłem radio i usłyszałem Mircea Eliade jak informował społeczeństwo o tym, że dyskutowane są tezy zjazdowe, a delegatką włóknarzy jest prządka taka to a taka, a kolejarze podjęli zobowiązania etc., etc. już chyba ze trzydzieści lat trwa ta bzdura zwana Polską Ludową, a tego ja jednak nie potrafię zrozumieć. Niby rozumiem, a nie rozumiem. To tak jakbym rozumiał słowa i dźwięki, a nie spostrzegał gdzie tu się mieści ta „treść gorejąca”. Nie piszę tego po to by Cię dotknąć, lub by serio stawiać Eliade obok tez zjazdowych, lecz by naprowadzić na ślad, byś łatwiej zrozumiał jak to u mnie dźwięczy, gdy ja tam. To tak jakby Ci do jedzenia dali coś co jest idealnie pozbawione smaku, mimo iż ładne w wyglądzie i miłe w dotyku [założmy roboczo że „ładne” i „miłe”], owóż jesz i jesz i nic. Nic. Nic.

Jeszcze jedno mi przychodzi do głowy w związku z Meyrinkiem. Bo możesz mu co wyżej zarzucić, ale niby skąd ja wiem, że u Meyrinka miało miejsce „odpisywanie” symboli [nazwijmy to tak w skrócie – chyba rozumiesz co mam na myśli], a nie to co rozumiem przez „rodzenie” symboli pod wpływem sięgania do własnej nieświadomości. Owóż rzeczywiście nie potrafię na to odpowiedzieć. Tak mi się zdaje. Ale tu przychodzi w pomoc może nie tylko intuicja, co świadomość, że innych podobnych rzeczy, które również dokładnie odróżniam, a również nie potrafię określić, nie potrafię odpowiedzieć dlaczego wiem. Na przykład: Przed kilkunastu dniami w radiu był wywiad dość obszerny z Brzozowskim, Nowosielskim i Buczkiem. Owóż jest rzeczą dla mnie bezsporną, że Brzozowski mówił „na żywo”, a Buczek czytał z kartki [czego nie traktuję jako pochwały lub nagany, lecz po prostu stwierdzenie faktu] mimo iż czytając modulował głos, robił przystanki, zakończył nawet już bez kartki [pamiętał co napisał], a spiker przerywał mu co chwila pytaniami i luźnymi wkrętami, bo wyglądało to na spontaniczny wywiad. Otóż bez trudności zawsze odróżniamy spontaniczną wypowiedź od aktorstwa, nawet najlepszego aktorstwa [a czytanie to już aktorstwo] ale trudno, a raczej zupełnie niemożliwe jest wyjaśnienie co nam pozwala na to odróżnienie. Podobnie jest dla mnie z Meyrinkiem. Natomiast Kafka, którego wtedy dałem jako kontrprzykład, jest dla mnie spontaniczny, czego pośrednim dowodem jest choćby niemożność ukończenia tego co pisze [pośrednim, bo równie dobrze mógł kończyć, natomiast ten co „odpisuje” zawsze skończy, bo po prostu wie czego chce – rzecz w tym, żeby nie wiedział, żeby musiał kopać, a wykopawszy niejednokrotnie odrzucać z obrzydzeniem]. Pamiętam, że napisałeś wtedy iż każda literatura jest programowana [ja postulowałem nie programowanie] lecz przez naszą nieświadomość. Owóż

właśnie: Ja nie mam zastrzeżeń przeciwko programowaniu przez nieświadomość i nigdy ich nie miałem, mimo iż nie znałem wtedy terminu „nieświadomość”, natomiast mam zasadnicze zastrzeżenia przeciwko świadomemu programowaniu. Zresztą sam od wielu, wielu lat stosuję metodę, w której pozwalam się rzeczom samym rysować, ewentualnie zaczynam tylko i dalej już nie kontroluję wyobraźni, gdyż doświadczenia empiryczne wykazały mi niezbieżnie na materiale statystycznie wyliczalnym, że w ten sposób pełniej wypowiadam to co czuję w sobie, niż programując rzecz z góry. Jest rzeczą jasną, że w zasadzie nie ma tu niby specjalnej różnicy, bo czy wizja przyjdzie w ułamku sekundy przed pracą, a potem tylko ją utrwalimy w ciągu tygodnia trudu, czy też staramy się jej nie mieć na raz, a za to podzielić na raty, na cały przyszły tydzień trudu, to wizja nie przestanie być wizją... Tak, ale w pierwszym wypadku jest już trupem w momencie gdy ją utrwalamy. Ona powinna być jeszcze ciepła, o ile nie może być gorąca! Ideałem byłaby improwizacja, ale to technicznie niemożliwe. Zawsze wizja ma czas ochłonać, ochłódnać, zacząć wysychać, zanim ją utrwalimy i dlatego najsilniejsze są zawsze rzeczy robione „na kolanie”, tak jak rysunki dzieci, szaleńców, maniaków. Z drugiej strony [to już na marginesie] mam duży podziw dla majsterstwa i dlatego jest to dla mnie nieustanną tragedią, że to co robię staje się w trakcie roboty zimne, bo zajmuje zbyt wiele czasu i symbole są już trupami. Czy rozumiemy się? Cześć